

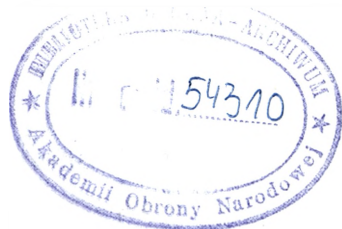
Odczyt Wojciecha Jaruzelskiego

wygłoszony na konferencji
54310 naukowo-historycznej

w Centralnej Bibliotece Wojskowej
w dniu 11 grudnia 2001 roku

Odczyt Wojciecha Jaruzelskiego

wygłoszony na konferencji naukowo-historycznej
w Centralnej Bibliotece Wojskowej
w dniu 11 grudnia 2001 roku



AKADEMIA OBRONY NARODOWEJ
WARSZAWA 2002

Skład, druk i oprawa: Akademia Obrony Narodowej - Wydział Wydawniczy
00-910 Warszawa, al. gen. A. Chruściela 103, tel./faks 681-37-52
zam. nr 191/2002

Dziękuję Państwu za zgodę na wypowiedź szerszą, niż wynikałoby to z przyjętego porządku konferencji. Problem jest jednak tak złożony, ma tyle różnego rodzaju wątków, że trudno odnieść się do niego w pełni – nawet w długim wystąpieniu. Na tle dzisiejszej dyskusji i w ogóle dyskusji, jaka się toczy od lat na temat wprowadzenia stanu wojennego, nasuwają się różne refleksje. Daje się w szczególności zauważyć selektywność podejścia do tego tematu, według politycznych zapotrzebowań, według pewnych mód. Jest też oczywiście czynnik subiektywny. Ja to rozumiem. Świeża jeszcze jest pamięć, jeszcze żyją pokolenia, żyją ludzie, którzy w tych wydarzeniach w różny sposób uczestniczyli, w różny sposób je odczuwali. Przecież, jak tu słusznie powiedziano, nawet bardziej odległe karty historii – powstania narodowe, powstanie warszawskie, zamach majowy i wiele innych wywołują wciąż dyskusje, różnice zdań. Prawdopodobnie nigdy nie uda się uzyskać opinii, co do której wszyscy będą zgodni. Tak będzie i ze stanem wojennym. Chodzi tylko o to, aby opierać się na faktach i aby kierować się logiką, a nie politycznie pobudzaną emocją. Jednocześnie my-

śleć o przeszłości, tak aby to uczyło, aby przynosiło doświadczenie, naukę. Tego rodzaju konferencje jak ta, książki, artykuły, wywiady - to wszystko jest ważne, to wszystko w jakimś stopniu zostaje - będą czerpać z nich różne środowiska i polityków, i historyków. Najważniejsze jednak jest to, co wchodzi do świadomości społecznej, przede wszystkim co dociera do młodego pokolenia. Zainteresowałem się podręcznikami do nauczania historii z lat 90. Oczywiście są różne. Nauczyciel, mając prawo wyboru, kieruje się niewątpliwie własnymi poglądami. W rezultacie powstają ujęcia, wersje, w których zauważalne są polityczne sympatie, a zwłaszcza antypatie. Jest powiedzenie średniowiecznych teologów, że diabeł, jeśli nawet mówi prawdę, kłamie. Przez część osób, które parają się polityką czy historią, jestem widziany raczej w tym charakterze. Cokolwiek bym mówił, może być przyjmowane nieufnie, krytycznie, albo w ogóle odrzucane. Będę więc posiłkować się również dokumentami, tekstami, które poświadczą, że nie jest to mój wymysł, że mówią o tym autorytety, mówią ludzie, do których można mieć zaufanie. Przede wszystkim mówią fakty.

Obecna konferencja odbywa się w szczególnym momencie. Wkrótce 20. rocznica wprowadzenia stanu wojennego. Ożywają wspomnienia i emocje. Niewątpliwie najbliższe dni przyniosą całą burzę pomówień, potępień, oskarżeń. Zwiastuny już się pojawiły. Skupię się więc dziś przede wszystkim na przedstawieniu optyki, racji widzianych od strony władzy. Jednakże to, co będę

mówił dalej, nie powinno być traktowane jako obrona, której nie towarzyszy samokrytyczna świadomość, że popełnione zostały błędy, że wiele było zła. Wielokrotnie to akcentowałem. Mówiłem, iż wielu rzeczy żałuję, ubolewam, wstydzę się nawet. Daje mi to – jak sądzę – jakieś moralne prawo, ażeby skoncentrować się na tym, co wpłynęło na podjęcie takich czy innych decyzji. Mówię nieraz – stan wojenny był okaleczeniem, ale przede wszystkim był ocaleniem. Badania sondażowe opinii społecznej od lat niezmiennie wykazują zdecydowaną, dwukrotną przewagę poglądu, iż wprowadzenie stanu wojennego było uzasadnione. A dzieje się to w warunkach propagandowej kanonady, zmierzającej w przeciwnym kierunku. Skąd więc biorą się odmienne od faktycznych, obiegowe, zwłaszcza medialne oceny? Pochodzą one, co prawda nie jedynie, ale głównie od – nazwijmy to – elit, od wpływowej części środowisk dziennikarskich, naukowych, twórczych, szczególnie w dużych ośrodkach. Przy całym dla nich szacunku ludzie ci nie są przecież całym narodem. Narodem jest nie tylko gwiazda dziennikarstwa i luminarz sztuki, ale narodem jest też prosta kobieta z zapadłej wioski i bezrobotny z dalekiej prowincji. Wszyscy oni są społeczeństwem, narodem. Tylko że głos tych pierwszych jest słyszany, a tych drugich wcale. A przecież ich ocena – jak przy wyborach – powinna liczyć się jednakowo. Nie wolno więc uogólniać, że stanem wojennym wszyscy czuli się poszkodowani, dotknięci. Bardzo, bardzo wielu zwykłych ludzi poczuło ulgę. Co nie znaczy, że nie przyniósł on dotkliwych społecznie skutków i ciężarów. Była tra-

gedia w kopalni „Wujek” i wiele innych bolesnych, krzywdzących faktów. Przed chwilą widzieliśmy i słyszeliśmy tu reakcje, ekscesy w wydaniu osób, liczących w owym czasie najwyżej 20–30 lat. Przecież to nie wynik ich własnej pamięci, dojrzałej refleksji, ale jakiegoś przekazu, w tym – być może – wspomnianych podręczników szkolnych. Proszę nie traktować, iż mówię to z pozycji osobistego odczuwania. To mam już zaliczone. Kilka lat temu dostałem przecież nie tylko jajkiem, ale potężnym kamieniem w głowę. Nie robię z tego problemu. Prosiłem prokuraturę, sąd o niesądzenie i niekaranie sprawcy. Osobiście nie rozumiem logiki werbalnego przebaczenia, którego warunkiem ma być uprzednie ukaranie.

Teraz o ocaleniu. Uszereguję to pojęcie w kilku płaszczyznach. Dyskusja z reguły się toczy wokół problemu: weszliby – nie weszliby. Jest to ucieczka od istoty sprawy. Jeśli skoncentrujemy się głównie na tym zagrożeniu, to zapomnimy, co sami zrobiliśmy, a czego nie zrobiliśmy. Na ile nasza polityka i nasza bijatyka, na ile rozwój naszej sytuacji wewnętrznej przyczynił się do tego zewnętrznego zagrożenia. Ono było pochodną, a mogło stać się strasliwym finałem. Złożyłby się nań cały proces, cały potok toczących się wydarzeń. I tu widzę charakterystyczne przemilczenia. Niedawno widziałem jeszcze w tzw. szcrotce książkę prof. Andrzeja Paczkowskiego, bardzo znanego, czołowego historyka. Specjalizuje się on, tak zresztą jak obecni tu panowie profesorowie, w historii najnowszej, najczęściej na ten temat wypowiada się publicznie. Książka interesująca, ale ujęta jednostronnie. Powołuje się na rozmaite źródła.

Kuklińskiego tam co niemiara, jest wiele innych, w tym MSW, a także protokoły z niektórych posiedzeń Biura Politycznego KC PZPR. Ale nie ma ani jednego odwołania się do materiałów: zapisów, protokołów, stenogramów z posiedzeń Rady Ministrów, jej Komitetu Społeczno-Politycznego oraz Komitetu Ekonomicznego, ze Sztabu Antykryzysowego oraz Dyżurnej Służby Operacyjnej Rządu – a więc tych ciał, które na co dzień żyły pod brzemieniem napięć społeczno-politycznych, różnych bulwersujących sytuacji, wielowymiarowego zagrożenia. One też najpełniej, najbardziej konkretnie przedstawiały obraz sytuacji, różnych uwarunkowań oraz stosowne do nich reakcje władz. Dodam przy tym nieskromnie, że ich pozycja po objęciu przeze mnie stanowiska premiera wydatnie wzrosła. Brak też jakichkolwiek odniesień do tego, jak widziały sytuację i jak na nią reagowały kierownictwa ZSL i SD, Rada Państwa, Sejm. Mam świadomość ich zawężonej w tamtych czasach roli, ale wiedza i opinie, wezwania i oczekiwania od nich pochodzące powinny znaleźć się w kompleksowym obrazie ówczesnej sytuacji. Szczególny przy tym niepokój przynosiły trudności gospodarcze, rozkład gospodarki, rzutujący przemożnie na byt, na życie społeczeństwa, wszystkich polskich rodzin. To był wręcz koszmar. Przecież elementarne warunki bytowania to jeden z fundamentów bezpieczeństwa narodu. Opis, ocenę decyzji i działań władz w izolacji od owych realiów, bez ich uwzględnienia, trudno uznać za naukowo obiektywne.

Już w 21 punktach porozumień gdańskich zawarta była ekonomiczna bomba zegarowa. Nie chcę być źle zrozumiany. Porozumienia sierpniowo-wrześniowe to wielki historyczny akt, ale - trzeba też powiedzieć - przyczyniły się one do załamania gospodarki. Mam pod ręką, ale nie będę szczegółowo przytaczał 6-7 punktów, które w istocie oznaczały: pracować krócej, a zarabiać więcej. W rezultacie pod koniec 1981 roku produkt narodowy, produkcja spadła o 18 procent, a płace wzrosły o 25 procent. Związek między pracą a płacą został drastycznie naruszony. Jeśli ktoś dzisiaj mówi - a niestety często mówi - iż to władza doprowadziła do tego, że na półkach sklepowych był tylko ocet, to popełnia nieprzyzwoite nadużycie. Powiedzmy otwarcie - „Solidarność” w sensie socjalnych roszczeń była anarchosyndykalistyczna, była w istocie ultrasocjalistyczna, była bardziej na lewo od ówczesnych władz. Dotyczyło to m.in. różnego rodzaju wymuszanych strajkami pracowniczych przywilejów, najrozmaitszych kart dla poszczególnych branż i specjalności. Obok żywiołu były też działania przynajmniej regionalnie sterowane. Gotowość strajkowa, strajki ostrzegawcze, czynne, bierne, kroczące, okupacyjne, rotacyjne - wypełniały każdy kolejny dzień. Nie mogło to nie rodzić u nas podejrzenia, iż „Solidarność” po trupie gospodarki zmierza do sparaliżowania i obalenia władzy. Czytając książkę pt. „Czas na zmiany” znajduję obraz nakreślony przez Jarosława Kaczyńskiego, bliski naszemu ówczesnemu widzeniu: *„Solidarność” nie była przecież niczym innym, jak zinstytucjonalizowanym w związek zawodowy buntem społecznym. Z kolei*

w rozmowie z Teresą Torańską (książka „My”) mówi on: *Nieporęczna w istocie od początku była „Solidarność” (...) już w 1981 roku dobrze o tym wiedziałem. Żartowałem wtedy, że gdybym nawet nie był pełnomocnikiem Moskwy, a musiał tutaj rządzić, to bym z „Solidarnością” jakoś się rozprawił, bo razem z nią rządzić by się nie dało, ponieważ ten monstrualny ruch ze względu na swój charakter i konstrukcję, także organizacyjną, do demokracji się nie nadawał. Oparty był na strukturze przedsiębiorstwa, a wyrażał w istocie ambicje polityczne, co jest klasyczną cechą komunizmu, oraz był z samego założenia, w swoich intencjach ruchem wszechogarniającym, czyli źle tolerującym jakikolwiek pluralizm. Poza tym reprezentował sposób widzenia rzeczywistości zupełnie nie przystający do gospodarki wolnorynkowej (...) zapewniam Cię, gdyby „Solidarność” z 1989 roku miała siłę z 1981 roku, to w ogóle żadnego mechanizmu demokratycznego w Polsce by się nie zbudowało. Podobnych głosów, ówczesnie opozycyjnych działaczy, mógłbym przytoczyć znacznie więcej. Wynika z nich logicznie, iż nieuzasadnione jest przypisywanie stanowi wojennemu wyłączności sprawstwa niepowodzeń „solidarnościowego” zrywu.*

Znów o sytuacji gospodarczej. Na jej katastrofalny stan nałożyła się zapowiedź, swego rodzaju ultimatum strony radzieckiej. Jeśli nie wywiążemy się z planowo zagwarantowanych dostaw (a było to oczywiście nierealne), co powoduje poważne perturbacje w gospodarce naszych sąsiadów, jeśli będzie utrzymywała się antyradzieckość, to wówczas od pierwszego stycznia 1982 roku nastąpi radykalne obniżenie dostaw ropy o 75 procent, gazu ziemnego o 50 procent, a także oleju napędo-

wego, nafty lotniczej i oświetleniowej, surowców fosforowych, niklu, aluminium, celulozy, bawełny itp. – niektórych nawet do zera. Są tacy, którzy mówią, że był to tylko straszak, papierowy tygrys. Jest dokument z archiwów postenerdowskich dostarczony sejmowej Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej, a w nim informacja z 21 października 1981 roku o rozmowie przebywającego w Moskwie Honeckera z sekretarzem KC KPZR Rusakowem. Rusakow mówił – mógłbym zacytować z dokumentu, ale streszczę z pamięci – Towarzysz Breżniew zdecydował, ażeby nie dostarczać cennych surowców krajowi, który zachowuje się w stosunku do nas nieprzyjaźnie. Jeśli sytuacja w Polsce się nie zmieni, będziemy stali na tym gruncie. I tak było do 13 grudnia. Co na to dziś różne pięknoduchy, które wznoszą się wielkopańsko nad udręką codziennego życia społeczeństwa. Myślę, że wielu tutaj obecnych dobrze pamięta, jak wyglądało zaopatrzenie, jak wyglądały warunki bytowania. Dodajmy do tego ostre niedobory energii elektrycznej. W rezultacie ciągłe jej wyłączanie. Kierowanie przede wszystkim do żłobków, szpitali, szkół, mieszkań, ograniczając tym samym dostawy prądu do zakładów przemysłowych, z oczywistym produkcyjnie skutkiem. Wspomniane ograniczenie dostaw z importu, w połączeniu z załamaniem własnej gospodarki, z gwałtownym spadkiem wydobywania węgla oznaczałoby w środku zimy nie tylko katastrofę ekonomiczną, ale i biologiczną. Teraz hipotetycznie pomyślmy – stan wojenny nie jest wprowadzony, nie dochodzi 17 grudnia do zapowiedzianej wielkiej demonstracji protestu. Mówiąc obrazo-

wo - czołgamy się, czekamy, próbujemy jakieś rozwiązanie znaleźć. Ale przychodzi styczeń 1982 roku. I następuje ta właśnie reakcja. Jej ostrzegawczy przedsmak, w postaci ograniczenia dostaw, zwłaszcza ropy oraz innych paliw, był już wyraźnie odczuwalny na przełomie listopada-grudnia. Prof. Stanisław Stomma 12 grudnia 1992 roku na łamach „Gazety Wyborczej” niezwykle trafnie powiedział, że niekonieczna była nawet interwencja militarna - wystarczyłaby blokada gospodarcza, aby zmusić Polskę do kapitulacji. Uważam, iż mogło być jeszcze gorzej - wybuch społecznej desperacji ze wszystkimi tego katastrofalnymi skutkami. Jakoś nie słychać stosunku do tego wariantu w głosach potępiających wprowadzenie stanu wojennego. Na szczęście pozostaje to w pamięci udręczonych w tamtym czasie ludzi. Pomijam już takie okoliczności, jak zanarchizowanie życia publicznego, jak liczne bunty w więzieniach, jak okupacja budynków, jak nierealizowanie elementarnych obowiązków wobec państwa i społeczeństwa. Na przykład wieś nie dostarczała żywności. Dlaczego? Bo nie mogła kupić węgla, nawozów, narzędzi itp. Kółko się zamykało. Dzisiaj mówimy wyłącznie o „Solidarności”, wielkiej „Solidarności” zrodzonej jesienią 1980 roku. Ale pamiętamy, że była również „Solidarność” Rolników Indywidualnych. Obiecywała bułkę z szynką. Ale tę bułkę i szynkę rolnicy trzymali u siebie na zapiecku. Czemu zresztą - jak już wspomniałem - trudno się dziwić, bo nie mogli niczego w mieście kupić. Była też licząca się wówczas Konfederacja Polski Niepodległej. Organizacja wojownicza, awanturnicza, odgrażała się,

przygotowywała konfrontację. Przed Sejmową Komisją Odpowiedzialności Konstytucyjnej zeznawał jeden z jej czołowych działaczy, Andrzej Ostoja-Owsiany. Mówił: byliśmy nastawieni na obalenie władzy siłą. Były odpowiednie przygotowania. Mieliśmy nawet podchorążówkę. Powstaje pytanie, czy uczono w niej tylko piosenek legionowych: „Jedzie, jedzie na kasztance...” Czy może czegoś innego? O KPN, jako potencjalnym detonatorze pamiętałem zwłaszcza przed zapowiedzianą w Warszawie na 17 grudnia (szczególnie niepokojące, że w godzinach zmierzchu) kilkusettyśięcną demonstracją protestu. W tym kontekście warto przypomnieć fragmenty dyskusji, zorganizowanej przez redakcję „Robotnika” (nr 78 z 27 sierpnia 1981 roku). Jan Lityński: (...) *obserwujemy rozpad gospodarki i rozpad państwa. „Solidarność” ten rozpad przyspieszyła, paraliżując niejako organy władzy. W tej sytuacji powstają wielorakie niebezpieczeństwa. Jednym z nich jest radykalizm typu KPN-owskiego. Odnoszę wrażenie, iż pan Lityński obecnie o tych ocenach już zapomniiał. A Jacek Kuroń mówił: (...) po raz pierwszy zacząłem myśleć, że mogłaby nam grozić wojna domowa. Wreszcie Bronisław Geremek: Kraj znajduje się w sytuacji zagrożenia narodowego, jakich było niewiele w historii Polski. Grozi nie tylko interwencja, ale i upadek z przyczyn wewnętrznych (...) Katastrofa jest faktem oczywistym, jest to katastrofa wciągająca.* Przypominam te mądre, odpowiedzialne słowa pochodzą z sierpnia. A co w grudniu?!

Prof. Jan Szczepański - wybitny autorytet, socjolog mówi, iż państwo: to społeczeństwo, to terytorium, to struktury. O społeczeństwie, jego sytuacji i opiniach już

mówiłem. Terytorium. Najkorzystniejsze na przestrzeni całej naszej historii. Przesunięte o setki kilometrów w cywilizacyjnie znacznie bardziej rozwinięty obszar. Nigdy też nie mieliśmy takiego dostępu do morza. Były piastowskie zagony. Jakimś kawałkiem litewskim, czy w istocie rusińskim, dochodziliśmy nawet do Morza Czarnego, z wiadomym zresztą później skutkiem. A Bałtyk – do Kołobrzegu, tylko w krótkim okresie historycznym, po I wojnie światowej już tylko skrawek. Obecna granica zachodnia, szerokie wybrzeże to wielkie narodowe zwycięstwo. Jeśli więc mówimy o obronie Polski Ludowej, bo jedynie to państwo w tamtym czasie było realne, to również oznaczało wywalczenie, uzyskanie i zagwarantowanie tej granicy, która aż od 1990 roku była w różny sposób kwestionowana. Pamiętam, jakie batalie toczyliśmy wspólnie z premierem Tadeuszem Mazowieckim, ażeby skłonić Helmuta Kohla do aprobaty, do przyjęcia formalnego, ostatecznego rozwiązania. Przypomnijmy sobie jednocześnie, jak w pierwszych latach 80. nasza pozycja osłabła. Jakie było stanowisko enerdowskie? W końcowej fazie dekady – może nie wszyscy pamiętają, ale ja to dobrze pamiętam, bo rozmowy z towarzyszem Erichem nie należały do przyjemności – powstał poważny konflikt wokół toru wodnego Szczecin-Świnoujście. był to przedsmak tego, co mogłoby się zdarzyć, gdyby nasze akcje w 1981 roku jeszcze bardziej spadły. Przypomnę słowa Breżniewa, Gromyki, Ustinowa – kto wam zagwarantuje granicę zachodnią? Istotnie kto? A teraz struktury. W tamtym ustroju, w tamtym systemie partia stanowiła konstrukcję, kręgo-

słup państwa - politycznie, kadrowo, organizacyjnie. W tym momencie nie oceniam tego, nie wartościuję, jedynie stwierdzam fakt. I nawet reformując ją, odstępując część politycznego pola innym siłom - nie było możliwe zburzenie tej konstrukcji. Już nie mówiąc o naszych wewnętrznych oporach, oznaczałoby to przede wszystkim destabilizację geostrategicznie kluczowego państwa i tym samym niebezpieczne naruszenie układu sił w Europie. Zdawali sobie z tego sprawę zachodni politycy. I tu kolejne przemilczenie, o którym chcę powiedzieć. Otóż w 1997 roku dla potrzeb konferencji naukowo-histerycznej w Jachrance, która zgromadziła znanych polityków i historyków z różnych krajów i różnych politycznie obozów, Amerykanie odtajnili niezwykle ważne dokumenty z lat 1980-1982: CIA, wywiadu wojskowego, połączonych wywiadów, Departamentu Stanu, Ambasady USA w Warszawie. Fragmenty tych dokumentów zacytowałem w książce „Różnić się mądrze” - widzę, że stoi ona tutaj na półce, zachęcam do przeczytania. Proszę mi powiedzieć, jaka - poza lewicowymi wyjątkami - prasa, jacy autorzy, jacy historycy poważnie sięgnęli do tych dokumentów, do autentyku amerykańskiego, czy dokonali jego wnikliwej analizy, oceny, wniosków? Inne dokumenty amerykańskie przytacza się u nas z całą powagą i zaufaniem. O tych się milczy. Widocznie są niewygodne. Amerykanie doskonale wiedzieli, świetnie znali, zresztą nie tylko od Kuklińskiego, cały wewnętrzny i zewnętrzny dramatyzm naszej sytuacji. I co? Jakie reakcje? Jedyna logiczna odpowiedź, to że uznali również stan wojenny za mniejsze zło.

Czynnik, o którym tak często się mówi – interwencja. No cóż – nie ma zapisu decyzji o wkroczeniu. Gdyby była – to byłoby i wkroczenie. Ale wtedy na dywagacje byłoby już za późno. Natomiast jest mnóstwo ewidentnych dowodów, faktów, iż takie realne niebezpieczeństwo istniało. Niektóre polityczne kręgi to przemilczają lub minimalizują. W rezultacie twierdzą, iż stan wojenny został wprowadzony tylko po to, ażeby ratować władzę, ratować przysłowiowe stołki. Jest to niegodziwa historyczna manipulacja. A jeśli już mówimy o systemie, o władzy, o partii, to raz jeszcze podkreślam, że cała warstwa krytyczna w mojej świadomości tkwi. Pamiętam o zachowawczych, hamulcowych kręgach. Pamiętam o naszych winach, o naszej, o mojej odpowiedzialności. I paradoksalnie – im częściej i mocniej biję się w pierś, ubolewam, żałuję, przepraszam – tym większa jest zjadłość w oskarżaniu, potępianiu, żądaniu rozliczeń, karania itd. Jak widać nie uzyskanie skruchy, lecz trzymanie problemu pod parą, utrwalanie krajobrazu po bitwie – jest celem głównym. Nie to jest jednak w tej chwili tematem mego wystąpienia. Podobnie jak nie jest nim przypominanie historycznej roli „Solidarności”, jej wolnościowych, demokratycznych dążeń, cierpień i zasług wielu jej godnych szacunku ludzi. Przyznaję, iż w zgiełku toczącej się walki widzieliśmy „Solidarność” głównie poprzez to, co było na powierzchni, co było najbardziej radykalne, drażniące – ciągłe protesty, populistyczne żądania, agresywne wypowiedzi, anarchizujące działania. To głębokie zróżnicowanie historycznej „Soli-

darności” zostało zresztą potwierdzone po latach, wręcz spektakularnie, poprzez jej polityczny rozpad.

Pan prof. Wiesław Wysocki mówi o stanowisku, o działaniach czynników kościelnych. Pragnę do tego dodać słowa szacunku dla Kościoła w Polsce, dla Papieża-Polaka, którzy i przed, i w czasie, i po stanie wojennym czynili tak wiele, ażeby pomóc ludziom, zwłaszcza w różny sposób poszkodowanym, ażeby doprowadzić do porozumienia, do pojednania, do ugody. Chcę też zacytować wydany niedawno zapis pamiętnikarski pt. „Rozmowy watykańskie arcybiskupa Dąbrowskiego”. Był on postacią bardzo znaną, wielce szanowaną, przez dziesięciolecia sekretarzem Episkopatu Polski. W dniach 22-23 grudnia 1981 roku odbyła się pierwsza po wprowadzeniu stanu wojennego wizyta przedstawiciela hierarchii w Watykanie. Wtedy jeszcze biskupowi Bronisławowi Dąbrowskiemu towarzyszył, dziś nieżyjący, ówczesny ksiądz, a późniejszy biskup Jerzy Dąbrowski. Biskup Dąbrowski relacjonuje papieżowi - jestem więc przekonany co do powagi i prawdziwości tych słów, które niewątpliwie wyrażały ówczesną opinię prymasa i Episkopatu. Cytuję: *„Solidarność” wbrew ostrzeżeniom Kościoła eskalowała wystąpienia i dążenia do władzy. Odmówiła wejścia do Rady Porozumienia Narodowego, mimo że Wałęsa 4 listopada 1981 roku zgodził się na wejście razem z Księdzem Prymasem, u premiera. Po spotkaniu z premierem Komisja Krajowa zdyskwalifikowała Wałęsę i oświadczyła, że „Solidarność” nie wejdzie do Rady Porozumienia... Zebranie Mazowsza w Politechnice 5-6 grudnia i powzięte uchwały zaalarmowały władze, szczególnie wyzna-*

czenie manifestacji ulicznej na dzień 17 grudnia 1981 r. Nasze rozmowy na wszystkich szczeblach „Solidarności” nie dały wyniku (szczególnie w dniu 9 grudnia spotkanie u ks. Prymasa). Komisja Krajowa w Gdańsku 11–12 grudnia 1981. Opinia Wałęsy – zbiorowa halucynacja, wielu uległo prowokacji. Opinia niektórych doradców o przebiegu obrad była podobna.

Czy władze w poruszonych kwestiach mogły mieć inny, bardziej łagodny pogląd niż sekretarz Episkopatu, niż Episkopat? Przecież to Kościołowi wyrządzony został wówczas największy afront, nie ze strony władzy, a ze strony kierowniczych kręgów „Solidarności”. W rozmowie ze mną jeszcze 21 października, a następnie 4 listopada na spotkaniu „Trzech” prymas z pełnym zrozumieniem odniósł się do mojej propozycji i całkowicie ją poparł, wskazał swojego przedstawiciela do dalszych rozmów w sprawie powołania Rady Porozumienia Narodowego – właśnie biskupa Bronisława Dąbrowskiego. Ja wskazałem Kazimierza Barcikowskiego, jednego z czołowych polityków, przy tym co miało szczególną wymowę – sygnatariusza porozumień szczecińskich z sierpnia 1980 roku oraz współprzewodniczącego Komisji Wspólnej rządu i Episkopatu. Lech Wałęsa nie potrafił ze swej strony nikogo wskazać. Nie mówię tego wobec Wałęsy z pozycji krytycznej. Chociaż zmienny, trudno czytelny, to był na ogół człowiekiem umiaru. Znajdował się pod ogromnym naciskiem sił radykalnych. Napisał o tym zresztą w książce „Droga nadziei”, podobnie też scharakteryzował swoje wystąpienie 3 grudnia w Radomiu (profesor Jerzy Holtzerb w swoich książkach wyraźnie to odnotował. Również i taką oko-

liczność, że: „Przywódcy »Solidarności« zaczęli tracić kontrolę nad działaniami Związku, w poszczególnych regionach kraju zaczynało wrzeć”). Istota relacji Wałęsy: musiałem pójść takim radykalnym kursem, bo inaczej zostałbym na boku. Jak więc władza, jak my mogliśmy to wówczas odczytywać? Znamienny sygnał. 26 listopada ukazał się komunikat 181 Konferencji Episkopatu Polski. Fragment cytuję z pamięci, w którą te słowa głęboko mi zapadły: „Kraj nasz znajduje się w obliczu wielkich niebezpieczeństw. Przemieszczają się nad nim ciemne chmury, grożące konfliktem bratobójczym”. Podkreślam - „konfliktem bratobójczym”, inni nazywają to wojną domową. Słyszysz się nieraz - skąd, jaka wojna domowa? „Solidarność” nie chciała obalać władzy, była nieuzbrojona, nie wybiła ani jednej szyby itp. Tak jest - zgoda. Ale pojawiają się sytuacje, a historia zna ich co niemiara - tu obecni niewątpliwie je pamiętają - chociażby tragiczne wydarzenia Poznań'56 czy Wybrzeże'70, kiedy w pewnym momencie nad tłumem, nad żywiołem nie panuje już nikt. Szczególnie jednak Węgry, Budapeszt - to stało mi wciąż przed oczami. Kilka dni temu był u mnie, w celu przeprowadzenia wywiadu, redaktor znanej węgierskiej gazety. Pytam - panie redaktorze, czy po tylu dziesięcioleciach ostatecznie wiadomo, kto oddał ten pierwszy strzał - prowokacja, przypadek? Odpowiedział - dotychczas nie zostało to wiarygodnie ustalone. Zebrał się wielki tłum, demonstracja. Padł strzał, potem następne. Rozbrajanie milicji, rozbrajanie wojska i tłum dotychczas nieuzbrojony stał się uzbrojony. W warunkach emocji grudnia'81, w tak

wybuchowej atmosferze mogło dojść do podobnej sytuacji, przy tym na polską skalę. Czytam w 1994 roku w „Polityce” – wypowiada się Maciej Jankowski, ówczesny szef „Solidarności” Regionu Mazowsze: „Ja stutysięczną manifestację opanuję, ale trzystutysięcznej już nie”. Z kolei Bronisław Geremek, 1995 rok również „Polityka”: „Stutysięczna manifestacja może zachwiać ła-dem państwa”. Spójrzmy, oto lata 1994–95, demokracja okrzepła, na ogół spokój, sytuacja gospodarcza nie najgorsza i takie obawy, taka ocena. Czy w polityczno-społecznej temperaturze 1981 roku nie prowadziłoby to do niewyobrażalnie groźniejszych konsekwencji?!

Są na tej sali również osoby, które nosiły, a nawet jeszcze noszą mundur. Ale naprawdę nie trzeba być wielkim strategiem, wystarczy spojrzeć na mapę i pamiętać, jaki był to czas. Abstrahując od takich czy innych poglądów Breżniewa, Honeckera, Husaka itd., przesądzająca była brutalna logika podzielonych wówczas antagonistycznie Europy i świata. To dziś coraz odleglejsza historia. Jej zadry nie powinny być przenoszone na dzisiejszy czas, zwłaszcza na stosunek do Rosji. Nigdy nie mówiłem, że Związek Radziecki, że jego przywódcy pałali chęcią zbrojnego interweniowania w Polsce. To dla nich byłby też czarny scenariusz. Ale jedno to obawiać się, nie chcieć, a drugie to móc, i w określonej sytuacji uruchomić operację. Obowiązkiem nas, Polaków, było stale odczytywać, jakie jest pole rozpiętości między tymi dwiema pozycjami. Mieć świadomość, że logika wydarzeń nieubłagalnie je zawęży. Wówczas tylko polityczny, a tym bardziej wojskowy ślepiec mógłby

nie rozumieć, że zamęt, że utrata sterowności, że destabilizacja w Polsce może – i wcześniej czy później musi – doprowadzić do katastrofy. Przypominam sobie rozmowy z dowódcą Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego marszałkiem Wiktorem Kulikowem, a było ich wiele. W jednej z nich – listopad 1981 r. – taka informacja: nie tylko pogłębiają się niedobory w zagwarantowanych umowami artykułów dla Północnej Grupy Wojsk Radzieckich, ale nasilają się również zakłócenia w dostawach energii. Komplikuje to funkcjonowanie systemów radiolokacyjnych, dowodzenia, łączności itd. A to już grozi naruszeniem gotowości bojowej Grupy. W kolejnej grudniowej rozmowie słowa: „ręka nam nie zadrży”. Do tego ruchu wojsk wokół naszych granic oraz spiętrzające się zatory na liniach kolejowych Wschód-Zachód. Informowała o nich codziennie dyżurna służba rządu, tzw. DYSOR (jej meldunki – były do dyspozycji Sejmowej Komisji – są w archiwum). Czy o tym wszystkim można było wówczas nie pamiętać, lekceważyć, grać losem narodu jak na loterii, jak w ruletce, uda się – nie uda się?!

Dzisiaj jest 11 grudnia, cofnijmy się 20 lat wstecz. Odtwarzam tę sytuację. Ja, moi cywilni i wojskowi współpracownicy siedzimy jak na szpilkach. Sytuacja pod każdym względem zła, rozwija się groźnie. VI Plenum KC uchwałą z 28 listopada zobowiązało klub poselski PZPR do wystąpienia z inicjatywą podjęcia prac legislacyjnych nad projektem ustawy „O nadzwyczajnych środkach działania w interesie ochrony obywateli i państwa”. W istocie miało to być przyzna-

nie rządowi pełnomocnictw, umożliwiających – jako cel główny – wprowadzenie zakazu strajków na okres zimy (do 31 marca 1982 r.). Inicjatywa ta spotkała się z gwałtownym protestem „Solidarności”, w tym groźbą strajku generalnego. Przed niebezpieczeństwem takiej reakcji ostrzegł posłów Kościoł. Musieliśmy się cofnąć, zaniechać tej próby ratowania gospodarki, elementarnego ładu w kraju. W dniach 5–6 grudnia odbywa się zjazd delegatów „Solidarności” Regionu Mazowsze. Mamy informacje – Zbigniew Bujak mówi, że przed związkami stoją dwie drogi. Jena to zdecydowane przeciwstawienie się taktyce władz, ale oznacza to konflikt z władzą – konflikt niemalże ostateczny, konflikt na miarę bydgoską, ale już bez ustępstw. Wyraża przekonanie, że tę drogę trzeba wybrać. A druga droga oznacza wycofanie się na stanowisko związkowe. Należy ją odrzucić. Na tymże zjeździe podjęta zostaje decyzja o wielkiej demonstracji protestu 17 grudnia w Warszawie – Bujak oceniał ją na 200 tysięcy. W kontekście preferencji dla „pierwszej drogi” to wyjątkowo niepokojące. 9 grudnia wiceprezydent stolicy Stanisław Bielecki w imieniu władz wzywa Region Mazowsze do zaniechania tej demonstracji. Pod nieobecność Bujaka wiceprzewodniczący Regionu Seweryn Jaworski odrzuca ten apel. Atmosfera się zagęszcza. Tym bardziej chłonimy informacje, co dzieje się w Gdańsku. Może będzie jakiś ruch, jakiś sygnał. Te, które docierają, są niepokojące. Jak się później okazało informacje mieliśmy wiarygodne. W książce prof. Andrzeja Paczkowskiego „Pół wieku Polski – 1939–1989” m.in. przeczytałem, że w Gdańsku „przewa-

żały głosy radykalne, nawet desperackie". Mimo to była wciąż pewna nadzieja. Przecież 9 grudnia w „Trybunie Ludu” – oficjalnym organie KC PZPR – w inspirowanym odgórnie artykule redakcyjnym znalazło się stwierdzenie, iż Sejm następnej kadencji, wybrany według uzgodnionej wewnątrz Rady Porozumienia Narodowego demokratycznej ordynacji wyborczej, przejmie funkcje Rady. W tamtych czasach był to wielce znaczący sygnał i zachęcająca sugestia. W istocie, wskazywała kierunek, jaki Lech Mażewski nazywa ograniczonym pluralizmem politycznym. Jego ramy to właśnie byłaby kwestia do dyskusji, do negocjacji, których niestety zabrakło. Wiedziałem też od wicepremiera, znanego działacza katolickiego – prof. Jerzego Ozdowskiego, o kilku rozmowach prymasa z kierownictwem „Solidarności” – piątego, siódmego, a zwłaszcza o tej z 9 grudnia. Stanowcze przestrogi przed radykalizmem. Potwierdził to zresztą po latach Andrzej Micewski w udokumentowanej książce pt. „Kościół wobec »Solidarności« i stanu wojennego”. Prymas popierał jednoznacznie inicjatywę porozumienia. Pierwszym krokiem miało być powołanie Komisji (Grupy) Inicjatywnej. Niech kilka wydelegowanych, upoważnionych osób siądzie i wspólnie zastanowi się, zaproponuje następny etap. Przecież Magdalena, też jako forma rozpoznawczo-konsultacyjno-przygotowawcza, doprowadziła w konsekwencji do Okrągłego Stołu. Władze „Solidarności” jako argument „na nie” wysuwały, że najpierw trzeba rozwiązać problemy, a potem dopiero powołać Radę. A przecież jej powstanie i działanie miało się przyczynić do rozwikła-

nia tego, czego dotychczasowymi metodami rozwiązać się nie udało. I drugie – zastrzeżenie do ilościowego składu Komisji (Grupy) Inicjatywnej. To też pretekst. Jej funkcja miała być czysto robocza. Jej uczestnicy o niczym by nie decydowali, a jedynie proponowali. Chcieliśmy, aby w składzie Komisji znalazł się również przedstawiciel ZSL i przedstawiciel SD. To też świadectwo gotowości wejścia na pole polityczne, ponadzwiązkowe. Jednak dopiero wynegocjowany skład przyszłej Rady stanowiłby odzwierciedlenie stosownego układu sił. Zresztą i Komisja i Rada – co oczywiste – działałyby na zasadach consensusu. Niczego więc nie można byłoby narzucić. To w ówczesnych realiach ustrojowych okoliczność jakościowo nowa, o doktrynalnym znaczeniu. Chodziło więc o ten pierwszy krok, krok czytelnych intencji i dobrej woli. Teraz po latach myślę – dostajemy wtedy sygnał z Gdańska: zgadzamy się na rozpoczęcie rozmów, wyznaczamy X, czy Y do Komisji Inicjatywnej. Ze strony Kościoła, PZPR, pozostałych potencjalnych negocjatorów nie byłoby żadnych wahań. Co więc mogłoby dziać się dalej? Spotkanie – publiczna o nim informacja. Jej powszechny, wręcz sensacyjnie pozytywny odbiór. Przypomnę, że po latach, w sierpniu 1988 roku, wyrażona publicznie obustronna gotowość do rozmów szybko zdjęła napięcie. Tak mogło być w grudniu 1981. Czy w takiej sytuacji można sobie wyobrazić wprowadzenie stanu wojennego? Nie ma stanu wojennego! Jest bzdurą opowiadanie, że był on przesądzony, że nie było od niego odwrotu. Dopóki nie zapadła ostateczna decyzja, wszystkie przygotowania można było bez trudu za-

trzymać, cofnąć. Kto ma trochę oleju w głowie nie powinien mieć wątpliwości, że organizacyjnie, wojskowo to nie jest problem. Czy również w warunkach odprężenia, w takiej negocjacyjnej sytuacji, mogła być podjęta interwencja militarna z zewnątrz? Trudno to sobie wyobrazić. Stracona została wielka szansa. Historycy, tak gorliwi w tropieniu wszystkich słabości i potknięć władzy, nie są w tej materii zbyt wnikliwi i wylewni. Działacze „Solidarności” albo dziwnie milczą, albo robią uniki w rodzaju - nie mieliśmy do was zaufania. To mogę zrozumieć. Nie byliśmy dobrze widzianą władzą. Ale przecież przy stole obrad byłoby najlepiej to sprawdzić, wątpliwości wyjaśnić... Gdyby nasza oferta była pozorowana, zwodnicza, nie satysfakcjonująca, można by ją wówczas publicznie zdezawuować. Do tego jednak nie doszło. Może były inne rachuby. Może przekonanie, że ta władza jest już jedynie z nazwy, że nie warto z nią rozmawiać? Jak było naprawdę? To pytanie trzeba powtarzać. Żądać jasnej odpowiedzi. Czynię to dziś również z tego miejsca. Notabene, gdyby podjęto rozmowy, to straciłaby sens demonstracja protestu 17 grudnia, a nawet, gdyby do niej doszło, to przebiegałaby w zupełnie innej atmosferze. Reasumując: wiadomo, kto stan wojenny wprowadził - o tym głośno. Ale kto się do tego walnie przyczynił - o tym cicho. Jest skutek, ale nie ma przyczyny. Ta absurdalna, bałamutna konstrukcja utrzymywana jest uporczywie.

Teraz kwestia przygotowań do stanu wojennego. Istotnie trwały one od dłuższego czasu. Wiele z nich można było łatwo wydedukować, a nawet dostrzec go-

łym okiem. Zaskoczeniem mógł być tylko moment i technologia realizacyjna, a nie jego oczywista realność. Przecież ja oficjalnie, publicznie 28 listopada z trybuny VI Plenum KC w sposób jednoznaczny o tym powiedziałem. Tamże Kazimierz Barcikowski poinformował, że w Grupie Inicjującej powołanie Rady Porozumienia Narodowego nie ma przedstawiciela „Solidarności”. Podkreślił – naszej propozycji nie traktujemy jako chwytu taktycznego, jeśli więc cele i możliwości powołania Rady zostaną odrzucone lub zniwelowane, to następstwa będą więcej niż poważne. Stale apelowali, ostrzegali Mieczysław Rakowski i Stanisław Ciosek, inni politycy, ekonomiści, działacze społeczni. Były też apele, wezwania i przestrogi płynące z Sejmu, z komunikatów Komitetu Obrony Kraju, Rady Wojskowej MON. O głosach partyjnej konserwy nie wspomnę, bo te ostrzegając, mogły jednocześnie drażnić. Było więc wiele apeli i przestróg. Żyją wiarygodne osoby, które je ludziom „Solidarności”, a zwłaszcza jej doradcom przekazywały. To konkretny dowód, że chcieliśmy tej ostateczności uniknąć. Przygotowania były od początku działalnością prewencyjną, były logiczną alternatywą na okoliczność braku lub naruszenia porozumień, grożącej konfrontacji, pogłębiającego się rozkładu gospodarki i paraliżu funkcji państwa. Wręcz zabawne, jak niektórzy politycy i historycy ekscytują się archiwalnymi znaleziskami dokumentów, zapisów, mówiących o różnych przygotowawczych czynnościach, instrukcjach, kryptonimach, hasłach itp. Dobrze, iż to wszystko było. Gdybyśmy improwizowali, to dopiero byłaby katastrofa. Zacytuję – mam

zanotowaną – celną wypowiedź Stefana Bratkowskiego, który admiratorem stanu wojennego przecież nie jest. 13 grudnia 1991 r. w „Gazecie Wyborczej” ukazało się m.in. takie jego stwierdzenie: *Gdyby nas nie bili tak fachowo, podręcznikowo sparaliżowali, doszłoby, jak $2+2=4$ do przelewu krwi. Młodzież ruszyłaby naprzeciw broni, nawet z gołymi rękami.* Do tego mogło dojść. Kto gorszy się precyzyjnym przygotowaniem stanu wojennego, a potem reakcją na różne odruchy protestu i oporu, niech zechce to zrozumieć. To nie znaczy, że owo mniejsze zło nie było niejednokrotnie zbyt duże w stosunku do nieuchronnej, rzeczywistej konieczności. Niewątpliwie tak. Ja w wywiadzie, który został dzisiaj opublikowany w „Gazecie Wyborczej” – nie po raz pierwszy zresztą – samokrytycznie powiedziałem o przegięciach w represyjności, że za wiele internowań, że zwolnienia z pracy, emigracje, porachunki, różne niegodziwości i idiotyzmy, że pod parasolem stanu wojennego ożywili się różni polityczni troglodyci. Ale to jedna strona sprawy. Gdyby jednak od razu rozluźnić, przestać stosować niezbędne – zaznaczam niezbędne – rygory, to stałoby się właśnie możliwe to, o czym pisze Bratkowski. Nie zauważyłem, ażeby ktoś spojrział na ten problem także od tej strony.

Przepraszam za chaotyczność, ale muszę poruszyć kolejny wątek. Pojawia się zarzut, że kooperowaliśmy, że informowaliśmy o tych przygotowaniach naszych ówczesnych sojuszników. To znów oczywiste. Przecież mieli wobec nas różne podejrzania i pretensje. Że nie zwalczamy radykalnie i skutecznie opozycji, że nie jest to tylko nasz problem, że godzi on w żywotne interesy

całego Układu. Przypomnę rozmowy, które były prowadzone z niektórymi polskimi generałami i pytanie: czy wykonają rozkaz, jeśli wyda go ktoś inny niż generał Jaruzelski. Czy mieliśmy kamuflować nasze plany? Ich opracowywanie było wobec państw bloku podstawowym argumentem. Jesteśmy przygotowani na każdą ewentualność, jesteśmy w stanie, potrafimy, musimy rozwiązać nasze problemy we własnym zakresie, własnymi siłami. To przez cały tamten okres, publicznie z różnych trybun i łam mówiłem ja, także inni politycy i wojskowi. Włącznie z moim orędziem z 13 grudnia, a w nim słowami: „Z tego kryzysu musimy wyjść o własnych siłach. Własnymi siłami musimy usunąć zagrożenie”. Później zaś mówiłem, że decyzja była własna, suwerenna. Tak – bo chociaż powstawała w warunkach i pod brzemieniem wielostronnych zagrożeń i nacisków – to podjęły ją polskie władze. Biorę za nią odpowiedzialność. Każdy, kto umiał czytać i myśleć wiedział, o co chodzi. Przecież nie mogliśmy powiedzieć wszystkiego wprost. Padają zarzuty, że o czynniku zewnętrznym zaczęliśmy mówić otwartym tekstem dopiero w latach 1988–1989. Ale z Katyniem było podobnie – chociaż odpowiednie kroki podjęliśmy kilka lat wcześniej. Nie tyle ważne, co i kiedy się mówi, ale co w realiach historycznego czasu się robi.

Raz jeszcze powtórzę – wiedza sąsiadów o przygotowaniach była naszym atutem. Znamy sytuację, widzimy problemy, mamy odpowiednio zaplanowane rozwiązania, sami potrafimy to zrobić. Przy okazji jeszcze dalej idąca dygresja. 1970 rok, 17 grudnia – Gdynia,

Szczecin. Najbardziej dramatyczny dzień. W aktach sądowych znajduje się protokół z posiedzenia Biura Politycznego. Władysław Gomułka relacjonuje rozmowę z Leonidem Breżniewem. Telefonował Breżniew – mówił, że są bardzo zaniepokojeni, pytają, czy nie za szeroko poszliśmy z tymi cenami, czy wydarzenia nie rozleją się na cały kraj i wreszcie dwa ostatnie pytania: jaka jest sytuacja w armii i czy sami damy sobie radę? Gomułka odpowiada, że nie są to protesty ekonomiczne, ale polityczne, dajemy sobie radę, a jeśli zajdzie potrzeba, wówczas zwrócimy się do was o pomoc. Polska pozostanie niewzruszonym członkiem Układu Warszawskiego. Oczywiście Gomułka powiedział to w jakimś sensie – mówiąc brzydko – na odczepnego. Zbyt dobrze znana jest jego życiowa droga, droga więźnia stalinizmu, ażeby uważać, że liczył on na tego rodzaju rozwiązanie. Co chcę jednak w tym miejscu jako żołnierz, jako dowódca podkreślić: już wtedy, wykonując fatalną decyzję Gomułki – to tak gorzkie, bolesne zadanie – dzięki postawie wojska dało się uniknąć tragedii w ogólnonarodowej skali. To właśnie było realną odpowiedzią na pytania o sytuację w armii i czy sami damy sobie radę. Można powiedzieć – były to w miniaturze okoliczności, jakie potem, w innym oczywiście wydaniu, powtórzyły się w 1981 roku.

Czytam w dzisiejszej „Gazecie Wyborczej” wywiad udzielony przez Bogdana Borusewicza. Mówi on, że byliśmy zainteresowani tzw. bratnią pomocą. To kłamstwo, brednia, rocznicowo odgrzewana popłuczyna. Szczególnym propagatorem tezy o rzekomej prośbie

o pomoc był Władimir Bukowski. Przy gromkim medialnym akompaniamencie przywiózł on do Sejmu 19 maja 1998 roku – w którym zdecydowaną większość stanowiła wówczas koalicja AWS-UW – dokument znany u nas od lat i stosownie oceniony. Nic więc dziwnego, iż nie było żadnej reakcji, chociaż pan Borusewicz miał wtedy wszelkie możliwości. W 1992 roku udzieliłem obszernego wywiadu „Gazecie Wyborczej”. Stosunkowo niedawno była wyemitowana telewizyjna rozmowa, jaką przeprowadziła ze mną Teresa Torańska. W 126 numerze „Zeszytów Historycznych” paryskiej „Kultury” z 1998 roku, opublikowane zostało moje (ponad 50 stron) opracowanie „O stanie wojennym raz jeszcze” (uwaga na marginesie – chyba tylko ten numer „Zeszytów...” pokrywa taki „kurz désintéressement”). Zresztą na ten temat wypowiadałem się jeszcze nie raz – i wcześniej, i później. Aby się nie powtarzać przypomnę jedynie wycinkowo, sygnałnie pewien fragment. Dwunaste go z rana – wzywam do gabinetu prezesa Rady Ministrów generałów Janiszewskiego, Kiszczaka, Siwickiego. Oceniamy sytuację. Jest krytyczna. Kręgi partyjne i rządowe, moi najbliżsi i dalsi współpracownicy, stronnictwa sojusznicze, centrala i tzw. teren, wreszcie mnóstwo zwykłych obywateli – alarmują, oczekują rozstrzygnięć. Nietrudno to znaleźć w dostępnej literaturze i dokumentacji. Ale wciąż są wahania, wciąż jakaś nadzieja – związana zwłaszcza z działaniami prymasa, Episkopatu. Jeśli jednak trzeba będzie podjąć decyzję, to co może zdarzyć się z zewnątrz. Wiemy, co dzieje się wokół granic, jak puchnie od posiłków Północna Grupa Wojsk.

Szef Sztabu Generalnego generał Florian Siwicki przypomina przebieg posiedzenia Komitetu Ministrów Obrony państw Układu Warszawskiego, jakie w dniach 1-4 grudnia odbyło się w Moskwie (o niepokojących wnioskach z tego posiedzenia informował on 5 grudnia Biuro Polityczne). W tej sytuacji uważamy za celowy kontakt z Breżniewem. W obecności generałów polecam adiutanturze telefoniczne połączenie. Moskwa odpowiada, iż Breżniewa nie ma i łączy z Susłowem. Mówię o sytuacji. Decyzja jeszcze nie podjęta, jeszcze czekamy, może nadejdzie coś z Gdańska. Ale jeśli wprowadzimy stan wojenny, czy będzie to nasza wewnętrzna sprawa? Tak - to będzie wasza wewnętrzna sprawa. A jeśli będzie się komplikować? Pamiętaliśmy znamienne słowa Breżniewa: „jeśli budżet usłoźniatsia wajdiom”. Odpowiedź: „przecież zawsze mówiliście, że dacie sobie radę”. Po latach Witalij Pawłow w książce „Byłem rezydentem KGB” m.in. napisał, że 12 grudnia Susłow rozmawiał z Jaruzelskim i powiedział, że Związek Radziecki nie będzie się mieszał bezpośrednio do polskich spraw i nie skieruje do Polski swoich wojsk, czym wydaje się uspokoił Jaruzelskiego. „Uspokoił”, a więc przyznaje, że miałem powody do niepokoju. A słowa „wydaje się” są też znamienne. Istotnie, to zapewnienie nie było gwarancją, ale było jakimś potwierdzeniem, szansą, że będzie to nasza wewnętrzna sprawa. Tu wracam do Władimira Bukowskiego. Otóż w czasie wspomnianego „spektaklu” na terenie Sejmu powiedział on, że Jaruzelski wątpił w posłuszeństwo Wojska Polskiego (w swej książce „Moskiewski proces” z kolei pisze, iż nie

dowierzał armii polskiej) i w związku z tym zwracał się do Związku Radzieckiego i innych państw bloku o wprowadzenie wojsk. Gdy wszyscy odmówili, wprowadził stan wojenny. Zabójcza logika - w istocie obrażająca inteligencję polskich parlamentarzystów i rozsądek polskiego społeczeństwa. Okazuje się, że dopiero kiedy mi odmówiono, nagle przestałem wątpić w posłuszeństwo armii, zacząłem jej dowierzać. Ja wątpliwości w tym względzie nie miałem nigdy - życie potwierdziło to później. Dedykuję ten wywód panu Borusewiczowi. A ponieważ - co powiem nadzwyczaj ogłędnie - mija się on z prawdą na temat moich rozmów z Kulikowem oraz jego wypowiedzi w czasie konferencji w Jachrance, to z odtworzonego z taśmy magnetofonowej zapisu tej konferencji, zacytuję odnośne fragmenty: „Wielokrotnie jako głównodowodzący miałem kontakty z towarzyszem Kanią, z towarzyszem Jaruzelskim i innymi dowódcami wojskowymi i nikt z nich nigdy nie postawił problemu wkroczenia na terytorium Polski” (s. 156). „»Solidarność« w różny sposób, nie będę opisywał, wkroczyła na drogę konfrontacji z partią, z władzą, która wtedy rządziła. Takiej sytuacji dowództwo Układu Warszawskiego nie mogło przyglądać się beczynnienie” (s. 140). „... wszystko to zmuszało nas do utrzymywania wojsk w takim stopniu gotowości, by w odpowiednim momencie mogły działać, jeżeli wymagałaby tego inna sytuacja” (s. 157). „W Związku Radzieckim, a tym bardziej w Komitecie Centralnym wszyscy oceniali »Solidarność« jako kontrewolucję, jako ruch skierowany przeciwko istniejącemu ustrojowi, ruch, przeciwko któ-

remu trzeba podjąć odpowiednie kroki. Dlatego nie ma co kręcić i mówić inaczej” (s. 258). Równoległe z tym marszałek Kulikow – jak na ironię – oświadczał, iż nie zamierzano i nie planowano wkroczenia do Polski. Jedynie to ostatnie jego stwierdzenie zostało upowszechnione, a wielu polskich polityków i dziennikarzy, a nawet niektórzy historycy przyznawali mu ochoczo patent wiarygodności. Wstrzymam się od komentarzy.

Przedstawiając obraz liczenia na tzw. bratnią pomoc, obraża się nie tylko mnie, ale obraża się Wojsko Polskie, traktuje je jak bezwolną, ślełą masę, kwestionuje jego patriotyczną postawę i motywacje. Przecież nie mając zaufania i poparcia wojska nie mógłbym podjąć i zrealizować żadnej zasadniczej decyzji. Pułkownik profesor przytoczył dzisiaj charakterystyczne dane sondażowe. Jak przez wiele owych lat społeczeństwo polskie widziało wojsko, jaką miało o nim opinię, jak duże miało do niego zaufanie. Ja, współczesnemu wojsku, nazywanemu nieraz pompatycznie, jako przywrócone narodowi, życzę takich notowań. Tamto wojsko bywa klasyfikowane jako „komusze”, zwasalizowane, sławetne polskojęzyczne oddziały. Mimo to społeczeństwo obdarzało go takim zaufaniem. Zastanówmy się, na czym to polega, co w tym jest? Niewątpliwie wycucie i poczucie, że w takim kształcie, w takim usytuowaniu, jakie wówczas było realne, dobrze służyło narodowi.

Nikt nie ma monopolu na patriotyzm. Pan prof. Jerzy Eisler, który na temat dzisiejszej konferencji spojrzął ponad emocjami, mówi o kwestii wiary. Czy mogliśmy wierzyć w zagrożenie, w sposób i skuteczność jego

przewyciężenia? To nie była kwestia wiary, ale faktów. Pomijam w tym momencie ideologię, ustroje itp., chodzi o to, w jaki skutek się wierzy. Władze polskie w 1939 roku chyba nie bardzo wierzyły w „nieoddanie guzika”. To było mocarstwowo motywowane wzmocnienie samopoczucia narodu. Natomiast niewątpliwie wierzyły, liczyły, że Francja i Anglia skutecznie pomogą. Jak było faktycznie – wiemy. Bór-Komorowski wierzył, że Armia Radziecka dojdzie, przyjdzie. Do tego czasu powstanie utrzyma się, stworzy fakty dokonane, chociaż na siedmiu powstańców była tylko jedna sztuka broni palnej. Wiara w taki bieg wydarzeń przyniosła w efekcie bezprzykładną tragedię. A więc i w 1939, i 1944 roku owa wiara skończyła się klęską. My, ówczesne władze, widzieliśmy realność zagrożenia, jednocześnie wierzyliśmy, że wprowadzenie stanu wojennego jest rozwiązaniem bolesnym, ale optymalnym i skutecznym. Dla nas ówczesnych członków, działaczy partii, ludzi tamtego systemu, była to oczywiście polityczna przegrana. Polityczne nadzieje i środki zawiodły. Jednakże sytuacyjnie, etapowo była to wygrana. Wygrana to nie zawsze spektakularny sukces. To również niewdzięczna, ale skuteczna obrona. Później bowiem mogliśmy, idąc krok po kroku i obustronnie – podkreślam obustronnie – dojrzewając, dojść do innych czasów, do nowej historycznej, międzynarodowej sytuacji. Nie będę udawał, że byłem inny niż byłem. Długo wierzyłem, iż uda się realny socjalizm poważnie zreformować, uczynić go gospodarczo efektywnym, bliższym ludziom, a w politycznych, ustrojowych funkcjach państwa bardziej pluralistycz-

nym. Nie będę też udawał wizjonera, który przewidywał pojawienie się Gorbaczowa, rozpad Związku Radzieckiego, rozwiązanie Układu Warszawskiego. Nawet mężowie stanu na Zachodzie nigdy tego nie mówili, tego się nie spodziewali. Przyszedł Gorbaczow, to było objawienie. Powszechna troska, ażeby on tylko się utrzymał, aby się tylko – mówiąc żartobliwie – nie przeziębził. Przypomnę rok 1988, jego entuzjastyczne powitanie w Polsce. Zmierzam do tego, że ten bolesny etap, ten trudny czas stanu wojennego, w którym wielu ludzi doznało różnych krzywd, to było właśnie owo mniejsze zło. Zło nawet mniejsze jest też oczywiście złem. Najważniejsze jednak, iż dało się uniknąć zła największego, zapobiec katastrofie. W rezultacie nie podzieliła nas nieodwracalnie rzeka przelanej krwi, nie powstała przepaść nie do pokonania.

W przeszłości różnili się – i to nieraz gwałtownie – także nasi przodkowie. Na ogół oni też chcieli dobrze. Mieli dobre intencje, chociaż różne były ich wybory, działania, a zwłaszcza skutki. Są na tej sali też ludzie – i ja do nich należę – którzy przeszli długą drogę, przez Syberię, do Berlina, do Łaby. Inni poszli do lasu. Szanuję ich patriotyzm, często ofiarę, chociaż liczenie na trzecią wojnę nie było racjonalnym wyborem. Były różne drogi, często los o tym decydował. Bezcelowe jest więc wartościowanie patriotyzmu według doraźnych politycznych kryteriów. Było kiedyś złe, jątrzące i krzywdzące szeregowanie. Dziś z kolei przyklejane są etykiety, tylko z odmiennym znakiem. Weszliśmy w XXI wiek z wciąż odgrzewaną i podgrzewaną linią historycznych po-

działów. Nie widać jej końca. Próbowałem, w tym również występując ostatnio za granicą, we Włoszech, użyć formuły: „Solidarność” miała dalekosiężną historyczną rację, która – chociaż w zgoła innej niż w 1981 roku społeczno-ekonomicznej filozofii, to jako demokratyczny cel i wizja – w ostatecznym rachunku zwycięstwo. My, władza, mieliśmy rację aktualną, pragmatyczną. Pozwoliło to zapobiec katastrofie. Dojść do punktu, w którym przemiany mogły dokonać się nie jako niebezpieczne burzenie, ale jako sterowalny, pokojowy demontaż. Bez zrealizowania tej drugiej racji – nie wiadomo, czy, kiedy i jak mogłaby być zrealizowana ta racja pierwsza. Myślę, iż przy odrobinie dobrej woli, w poczuciu nadrzędnej racji państwa, można by na tej lub podobnej płaszczyźnie poszukiwać wzajemnego zrozumienia i zbliżenia, kompromisu i porozumienia.

Pan profesor Jerzy Holtzer powiedział o zmarnowanym czasie, o pozostawaniu w tyle przemian, jakie dokonywały się zwłaszcza w okresie Gorbaczowa. Nie zamierzam być swoim własnym adwokatem. Pan profesor na pewno zna, uchodzące za poważne, dzieło pt. „Boże igrzysko” autorstwa Normana Daviesa. Pisze on, że Jaruzelski rozpoczął pierestrojkę trzy lata wcześniej niż Gorbaczow. I tutaj przytaczam z zażenowaniem – Jaruzelski był Janem Chrzcicielem pierestrojki. To oczywiście przesada, nie przypisuję sobie takiej roli. Niewątpliwie jednak szereg naszych rozwiązań służyło pierestrojce, było dla niej swoistym laboratorium. Gorbaczow nieraz zwracał się do mnie z prośbą o materiały, informacje, jak rozwiązujemy jedno, drugie, trzecie.

W ocenie lat 80. spotykam się również w takim pytaniem - dlaczego w gospodarce nie zrobiliśmy tego, co Pinochet w Chile? Pójść drogą Pinocheta - dziękuję bardzo. Aby wyegzekwować takie jak on twarde, bezlitosne społeczno-ekonomiczne reguły, trzeba byłoby wprowadzić takie jak on represyjne rygory, liczyć się z ciężkimi ich ofiarami. Zresztą to w ogóle absurdalne. On robił to w ustroju kapitalistycznym, tylko jego mechanizmy uszczelnił i wyostrzył. My żyliśmy w ustroju socjalistycznym. Ludzie byli inaczej ukształtowani, inna była mentalność. W kapitalizmie znana jest przysłowiowa kariera pucybuta. Pucybut zostaje milionerem. Jest to przyjmowane w sposób naturalny, bo tkwi w mentalności społeczeństwa, ukształtowanego w tym ustroju przez dziesięciolecia, jeśli nie przez stulecia. W Polsce były silne nastroje egalitarne. Pozostało zresztą po nich zrozumiałe wyczulenie. Oto ktoś buduje sobie pałac czy pałacyk, pojawiają się mercedesy, jachty, Karaiby. Nic w tym zdrożnego, jeśli powstaje z wielkiego talentu, z wielkiej pracy, z nieprzeciętnej, uczciwej przedsiębiorczości. Drażni, jeśli jest uzyskane inaczej - w sposób drapieżny, na tajemnicze skróty. A jest tego wiele. Ponadto jeśli widać coraz ostrzejsze kontrasty materialne oraz rozpiętości startu życiowego. Kształtowanie świadomości społecznej było w przeszłości utopijne, nawet prostackie, nie sprzyjało efektywności i kreatywności. Ale było realnością. Można krytykować gospodarczą filozofię młodego ustroju. Ale nie można przejść obojętnie wobec jego filozofii społecznej. Była ona ponad siły naszej gospodarki. Z drugiej strony trudno zapomnieć, iż nie było

ludzi za burtą, bez szansy pracy, że budowano – co prawda nie tak luksusowych, ale trzy razy więcej mieszkań – niż dziś. Tanie były wczasy, kolonie, lekarstwa, książki. Dzisiaj dochód narodowy jest większy niż w latach 80., gospodarka bardziej efektywna, wielkie wpływy z prywatyzacji, armia ponad dwa razy mniejsza – i ciągle lament, że brak pieniędzy niemal na wszystko. Gdzie więc one się podziewają? Dlaczego dzisiaj kluby, czy tzw. klubokawiarnie, biblioteki, czy punkty biblioteczne prawie zniknęły z polskiej wsi? Nawet w wielu miastach też ledwo wegetują, część dogorywa. Pojawiają się za to liczne, w tym we wsiach – widziałem niedawno w telewizji – agencje towarzyskie. Coś zasadniczo się zmieniło. Nie mówię o tym w kategorii zgorzenia – bo nie o to chodzi, ale po prostu zdziwienia. Dobrze, że zmieniła się przysłowiowa kąpiel. Ale czy wszystko z nią wylać trzeba?

Daleki jestem od nostalgii za minionym ustrojem. Miał on nieuleczalne wady wrodzone i liczne patologie realizacyjne. Dobrze, iż to zamknięta karta. Przyznaję też – znów nawiązując do słów pana profesora Holtzera – że w latach 80. szereg spraw można było rozwiązać szybko i lepiej. Mówiłem już zresztą o tym nieraz. Ale nie było możliwe wielkie przyspieszenie, duży skok. Dotyczy to m.in. drażliwego i w istocie kluczowego problemu własnościowego. Pomijam zahamowania doktrynalne. Ale przypominam sobie spotkania z ludźmi pracy, z robotnikami, bo do nich zwłaszcza staraliśmy się często zwracać. My naprawdę chcieliśmy traktować robotników – często nawet z przesadą – jako

awangardę. Na wszystkich tych spotkaniach, w których uczestniczyły liczne również osoby związane z „Solidarnością”, jeden z głównych zarzutów brzmiał: panie generale, dlaczego pan toleruje, dlaczego pan pozwala, że tak się bogaci ta prywata, ci badylarze, te firmy polonijne. Po dzień dzisiejszy mi to w uszach dźwięczy. Cofnijmy się myślą jeszcze dalej. Sierpień '80, trwają strajki, zwłaszcza w Stoczni Gdańskiej. Gdyby wówczas ktoś tam powiedział: dopiszmy 22 punkt – prywatyzację, chyba kości by mu połamali. W tym miejscu aż się naprasza taka dygresja. Słysząc często – „komuna” się przefarbowała. A jeśli tak, to jak nazwać zwrot o 180 stopni od społeczno-gospodarczych haseł i postulatów historycznej „Solidarności”? Czy nie lepiej powiedzieć wprost – nowe historyczne realia wytyczają drogę zmiany poglądów. Nie tylko jedna strona ma do tego prawo.

Wracam do oceny charakteru i tempa zmian w latach 80. Wszystko musi dojrzeć. Były różne uwarunkowania. Byliśmy przytłoczeni restrykcjami, sankcjami. Jedyne oparcie to wówczas RWPG, a więc określone ramy systemowe. Mimo to w poszerzanie sektora prywatnego, w usamodzielnianie przedsiębiorstw, w niektóre elementy gospodarki rynkowej zaczęliśmy stopniowo wchodzić. Została konstytucyjnie zagwarantowana trwałość rolniczych gospodarstw indywidualnych. W tym kontekście podkreślę korzystną sytuację materialną wsi oraz zasadniczy wzrost pozycji i roli Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Również konstytucyjnie wprowadzony został system społecznych konsultacji i referendów. Pozostał Trybunał Konstytucyjny, Trybunał

Stanu, instytucja Rzecznika Praw Obywatelskich. Były też inne inicjatywy i rozwiązania modernizujące gospodarczo, społecznie, politycznie. Pozwoliły gromadzić doświadczenia, przygotowywać kadry, zbliżyć ich wiedzę i mentalność do nowych wyzwań i czasów. Jakościowo nowy etap – to rząd Mieczysława Rakowskiego. Odważnie podjął i realizował zasadnicze, o charakterze ustrojowym rozwiązania. Mało kto o tym pamięta. Wręcz przeciwnie – nieraz czytam, iż zostawił chaos i puste półki, jedynie z nieszczęsnym octem na okrasę. Tak oto głosi się „historyczną prawdę”.

Kończąc, wracam do problemu podręczników. Przykładowo odniosę się do jednego z najbardziej renomowanych, autorstwa Anny Radziwiłł i Wojciecha Roszkowskiego. Fragment dotyczy braków zaopatrzeniowych w 1981 roku. Cytuję: „Braki były wynikiem bałaganu i biurokracji, a także gromadzenia przez władze zapasów na wypadek wprowadzenia stanu wojennego”. I dalej: „Jesień niepokoju. Napięcia społeczne nie ustępowały, władze podsycaly je, tolerując fatalny stan zaopatrzenia”. To absurdalne, przy tym niegodziwe pomówienie. Przecież nie tylko nie gromadziliśmy zapasów, ale wręcz przeciwnie, nawet wbrew zasadom, ze strategicznych zapasów wojskowych przekazywaliśmy niektóre artykuły na potrzeby zaopatrzenia ludności. Wszystkiego po prostu było brak. Kartki. Rozpaczliwe próby łatania. Żebrańna u rolników, u górników, u różnych producentów. Apele do „Solidarności” o zaniechanie strajków, o ograniczenie żądań i roszczeń. Prośby o pomoc kierowane do różnych państw, zwłaszcza do

Związku Radzieckiego. Ale młodzież otrzymuje inny obraz. Ta podła władza posiada, ukrywa zapasy, toleruje fatalny stan zaopatrzenia i nie dość, że naród głodzi, gnębi, oszukuje, to zniewala go ostatecznie, wprowadzając stan wojenny. Oto niewątpliwy wkład autorów nie tylko do oglupiania, ale i zaszczepiania nienawiści w umysłach młodego pokolenia. Są na tej sali niewątpliwie osoby, mające dzieci, czy wnuki, które chodzą do szkoły, uczą się z tego lub podobnych podręczników. Czy ktoś zareagował? Nie słyszałem. W tymże podręczniku jest też mowa o „Programie samorządnej Rzeczypospolitej”, w którym „domagano się powszechnego prawa do pracy”. To dziś, przy ponad 3-milionowym bezrobociu brzmi jak kpina. Ale wtedy, kiedy nie było tego problemu serwowano i taki postulat, takie żądanie. Filozofia żądań nie miała granic.

Proszę wybaczyć długość tego wystąpienia, jego emocjonalny ton. Niech obecny moment, sytuacja będzie usprawiedliwieniem. Cieszę się, że jestem wśród szeregu osób znanych mi ze wspólnej pracy i służby. Że mogę tą drogą podziękować za zaufanie okazane mi i wtedy, i wcześniej, i później. Służyliśmy Polsce takiej, jaką realnie była. Mamy również wkład w bezpieczne, pokojowe przejście na nowe ustrojowe tory. Dziękuję wszystkim osobom, które zechciały dzisiaj podzielić się swą wiedzą, swoimi opiniami i ocenami. Jeśli nawet w niektórych kwestiach się różnimy – to są tutaj ludzie nauki, historycy, których prace czytam zawsze z uwagą i z dużym dla siebie pożytkiem. Jestem przekonany, iż to, co dzisiaj usłyszeliśmy, jak też to, co zostanie złożone na

piśmie, uzupełni wiedzę o niedawnych historycznych wydarzeniach. Całość wydanych – mam nadzieję – tekstów dotrze do grona zainteresowanych i w ten sposób naszą wspólną wiedzę wzbogaci. Intencja – jak sądzę – była podstawowa, zrozumieć się, zbliżyć w widzeniu, w ocenie, że niezależnie z jakiej patrzylibyśmy strony, to służyliśmy Polsce.



